

Herman Melville

***Moby Dick***  
*czyli biały wieloryb*

*Tom 1*

Przełożył Bronisław Zieliński

Posłowie Mikołaj Wiśniewski

Państwowy Instytut Wydawniczy

## Rozdział I

### MIRAŻE

Imię moje: Izmael. Przed kilku laty – mniejsza o ścisłość jak dawno temu – mając niewiele czy też nie mając wcale pieniędzy w sakiewce, a nie widząc nic szczególnego, co by mnie interesowało na lądzie, pomyślałem sobie, że poześluję nieco po morzach i obejrzę wodną część świata. Taki mam właśnie sposób odpędzania splinu i regulowania krwiobiegu. Gdy tylko stwierdzę, że usta wykrzywają mi się ponuro, gdy tylko do duszy mej zawita wilgotny, dżdżysty listopad, gdy złapię się na tym, że mimowolnie przystaję przed składami trumien albo podążam za każdym napotkanym pogrzebem, a w szczególności, gdy moja hipochondria tak mnie opanuje, iż potrzeba mi silnych zasad moralnych, by się powstrzymać od rozmyślnego wyjścia na ulicę i metodycznego strącania ludziom z głów kapeluszy – wtedy uznaję, że już wielki czas udać się na morze jak najrychlej. To jest moja namiastka pistoletu i kuli. Katon z filozoficzną oracją rzuca się na ostrze swego miecza; ja spokojnie siadam na okręt. Nie ma w tym nic zdumiewającego. Gdyby tylko zdawano sobie z tego sprawę, okazałoby się, że niemal wszyscy ludzie, każdy na swój sposób, w takiej czy innej chwili, żywią wobec oceanu niemal te same co ja uczucia.

Oto macie wyspiarski gród manhattańczyków, opasany przystaniami jak indyjskie wyspy rafami koralo-

wymi. Otaczają go zewsząd spienione nurty handlu. Z prawej i lewej strony ulice wiodą was ku wodzie. Najdalszym skrajem miasta jest plac Battery, kędy wspaniałe moło obmywają fale i chłodzą bryzy, które jeszcze kilka godzin temu nie widziały lądu. Spójrzcie na tłumy wpatrzone tam w wodę.

Powędrujcie wokół miasta w zadumane niedzielne popołudnie. Przejdźcie od Corlears Hook do Coenties Slip, a stamtąd przez Whitehall ku północy. Cóż ujrzycie? Rozstawieni wokoło całego miasta jak milczące szyldwachy, tkwią tysiącami i tysiącami śmiertelnicy zatopieni w oceanicznych marzeniach. Jedni wsparli się o pale, drudzy zasiedli na skrajach pomostów, ci wyglądają przez burty statków przybyłych z Chin, inni wdrapali się wysoko na olinowanie, jak gdyby usiłując zyskać jeszcze lepszy widok na morze. Ale przecie to wszystko ludzie lądu, w powszedni dzień uwięzieni wśród desek i tynku – przywiązani do kontuarów, przygwożdżeni do ław, przytwierdzeni do biurka. Jakże więc to się dzieje? Czyżby zniknęły łąny zielone? Co oni tu robią?

Lecz patrzcie! Oto napływają nowe tłumy, zmierzając wprost ku wodzie, najwyraźniej gotując się do nurkowania. Dziwne! Nie zadowoli ich nic prócz najdalszego skraju lądu. Nie wystarczy im wałęsanie się w cienistym zaciszu magazynów. Nie. Muszą przedostać się tak blisko wody, jak to tylko możliwe bez wpadnięcia do niej. I tam oto stoją – milami całymi, długimi milami. Wszystko to ludzie lądu; przybywają z uliczek i zaułków, ulic i alej – z północy, wschodu, południa i zachodu. A przecie tu jednoczą się wszyscy. Powiedzcie mi, czyżby przyciągała ich tutaj magnetyczna siła iglic kompasów wszystkich tych okrętów?

Albo znowu: jesteście, powiedzmy, na wsi, w jakiejś wyżynnej krainie jezior. Pójdźcie którąkolwiek ścieżką, jaka wam się spodoba, a stawiam dziesięć przeciw jednemu, że zaprowadzi was ona w dolinę i pozostawi nad utworzonym przez strumień jeziorkiem. Są w tym jakieś czary. Pozwólcie najbardziej roztargnionemu z ludzi pograżyć się w głębokiej zadumie – postawcie go na nogi, wprawcie jego stopy w ruch, a niechybnie zaprowadzi was do wody, jeśli w tej okolicy wodę znaleźć można. Gdybyście kiedykolwiek cierpieli z pragnienia na wielkiej amerykańskiej pustyni, próbujcie tego eksperymentu, o ile tak się zdarzy, że karawana wasza wyposażona będzie w wyznawcę metafizyki. Tak, wszystkim to wiadomo, że medytacja i woda poślubione są sobie na zawsze.

A oto artysta. Pragnie on namalować wam najbardziej rozmarzony, najbardziej cienisty, najspokojniejszy i najczarowniejszy pejzaż romantyczny w całej dolinie Saco. Cóż będzie głównym elementem tego dzieła? Tu stoją drzewa, każde o pniu wydrążonym, jak gdyby wewnątrz siedział pustelnik z krucyfiksem; tam drzemie łąka, ówdzie śpi bydło, a z tamtej chaty wznosi się sennie dym. W głąb odległych borów wije się kręta ścieżyna, zmierzając w stronę spiętrzonych ostróg szczytów skalnych o zboczach skąpanych w mdrości. Lecz choć widzimy obraz tak urzekający, choć drzewo otrząsa na głowę pasterza swe westchnienia jak liście, wszystko to byłoby daremne, gdyby jego oczy nie były utkwione w czarodziejskim strumieniu, który ma przed sobą. Odwiedźcie w czerwcu prairie, gdzie dziesiątkami mil brodzi się po kolana wśród lilii – jakiegoż jedyne uroku tu brak? Wody – nie ma tu ani kropli wody! Gdyby Niagara była jedynie kataraktą piasku, czyż przebywalibyście tysiąc mil, by ją

zobaczyć? Czemuż to ów ubogi poeta z Tennessee, otrzymawszy nagle dwie garście srebra, deliberował, czy kupić sobie płaszcz, tak srodze mu potrzebny, czy też obrócić te pieniądze na pieszą wędrówkę do Rockaway Beach? Dlaczego niemal każdy krzepki, zdrowy chłopak o krzepkiej i zdrowej duszy wcześniej czy później dostaje bzika, żeby wyruszyć na morze? Z jakiejże to przyczyny wy sami, w czasie waszej pierwszej morskiej podróży, odczuliście tak tajemnicze drżenie, gdy oznajmiono wam po raz pierwszy, że wy i okręt wasz straciliście już łód z oczu? Czemuż to starożytni Persowie uważali morze za świętość? Czemu Grecy przydali mu osobne bóstwo, i to brata samego Jowisza? To wszystko z pewnością nie jest pozbawione znaczenia. A głębsze jeszcze znaczenie ma historia Narcyza, który nie mogąc pochwycić dręczącego, zwiewnego obrazu, dostrzeżonego w źródle, skoczył w nie i utonął. Ale my sami widzimy tenże obraz we wszystkich rzekach i oceanach. Jest to obraz nieuchwytnego zwidu życia – i to jest klucz do wszystkiego.

Kiedy jednakże powiadam, że mam zwyczaj wyruszać na morze, gdy tylko oczy ćmić mi się zaczną, a płuca ciążyć – nie należy stąd wnioskować, że kiedykolwiek udaję się na taką wyprawę jako pasażer. Albowiem na to, aby być pasażerem, potrzeba koniecznie sakiewki, a sakiewka jest tylko łachmanem, jeżeli nic się w niej nie ma. Prócz tego pasażerowie cierpią na morską chorobę, stają się swarliwi, nie śpią po nocach – na ogół nie spędzają czasu zbyt przyjemnie. Nie – nie pływam nigdy jako pasażer ani też, mimo że jestem po trosze człowiekiem morza, nie wyruszam nigdy na nie jako komodor czy jako kapitan, czy jako kucharz. Pozostawiam chwałę i znakomitość takich stanowisk tym, którzy to lubią. Jeżeli o mnie idzie, mam odrazę

do wszelkich zaszczytnych i szacownych trudów, zno-  
jów i udręczeń jakiegokolwiek rodzaju. Wszystko, na  
co się zdobyć mogę, to dbałość o samego siebie, bez  
doglądania okrętów, barek, brygów, szkunerów i czego  
tam jeszcze. Co zaś się tyczy wyruszenia w charakte-  
rze kucharza – acz przyznaję, iż znaczna jest w tym  
chwała, jako że kucharz to na pokładzie statku ktoś  
w rodzaju oficera – jednak nigdy nie odczuwałem  
upodobania do przypiekania drobiu; choć gdy jest on  
już upieczony, należycie omaszczony, roztropnie oso-  
lony i posypyany pieprzem, nie znajdzie się nikt, kto  
by wyrażał się o nim z większym ode mnie respektem,  
a nawet rewerencją. Toć właśnie dzięki bałwochwal-  
czemu uwielbieniu, jakie żywili starożytni Egipcjanie  
dla piezzonego ibisa i smażonego hipopotama, ogląda-  
cie mumie tych stworzeń w owych olbrzymich piekar-  
niach – piramidach.

Nie, kiedy wyruszam na morze, to tylko jako prosty  
majtek, którego miejsce jest na dziobie okrętu, pod  
pokładem forkasztelu albo też wysoko w górze, na  
szczytcie stengi masztowej. Co prawda, posyłają mnie  
to tu, to tam, każą skakać z rei na reję jak konikowi  
polnemu po majowej łące i zrazu rzeczy tego rodza-  
ju są dosyć nieprzyjemne. Obraża to poczucie naszej  
godności, zwłaszcza jeśli się pochodzi z rodu z dawna  
osiadłego w kraju, jak van Rensselaerowie, Randol-  
phowie czy też Hardicanute'owie. A już szczególnie  
jeżeli przed zabraniem się do morskiego rzemiosła  
sprawowało się rządu w charakterze wiejskiego na-  
uczyciela, przed którym drżały najroślejsze chłopaki.  
Zapewniam was, że przeskok z nauczyciela na majtka  
jest gwałtowny i wymaga silnej mieszanki Seneki i sto-  
ików, by móc znosić wszystko z uśmiechem. Ale nawet  
to uczucie przytępia się z czasem.

Cóż stąd, że jakiś stary kutwa, szyper, rozkaże mi wziąć miotłę i zamieść pokłady? Cóż znaczy podobna zniewaga, jeśli się ją, powiedzmy, odważy na szali Nowego Testamentu? Czyż sądzicie, że archanioł Gabriel będzie miał o mnie gorsze mniemanie dlatego, że pośpiesznie i z uszanowaniem usłucham owego starego kutwy w tym właśnie przypadku? A któż nie jest niewolnikiem? Powiedzcie tylko. Zatem więc, jakkolwiekby się starzy szyprowie mną wysługiwali, jakkolwiekby mnie szturchali i potracali, znajduję satysfakcję w świadomości, że jest to zupełnie w porządku, że każdy w ten czy ów sposób służył w bardzo podobnych warunkach – to znaczy albo z punktu widzenia fizycznego, albo metafizycznego; tak więc owym powszechnym szturchańcem obdzielani są wszyscy, przeto każdy winien klepnąć drugiego po plecach i być zadowolonym.

Zawsze, powtarzam, wyruszam na morze jako marynarz, uparto się bowiem, żeby mi płacić za mój trud, podczas gdy – o ile słyszałem – pasażerom nigdy nie płaci się ani szeląga. Wprost przeciwnie, właśnie pasażerowie muszą płacić. Istnieje zaś olbrzymia różnica między płaceniem a otrzymywaniem zapłaty. Akt płacenia jest może najdotkliwszym dopustem, jaki na nas ściągnęło owych dwoje złodziei z rajskiego ogrodu. Ale być opłacanym – cóż się może temu równać? Wytworna gorliwość, z jaką człowiek przyjmuje pieniądze, jest doprawdy zdumiewająca, zważywszy, iż tak żarliwie wierzymy, że pieniądze są źródłem wszelkiego doczesnego zła i że bogacz żadną miarą nie może dostać się do nieba. Ach, jakże ochoczo skazujemy się sami na potępienie!

I wreszcie wyruszam na morze zawsze jako majtek z uwagi na zbawienny dla zdrowia ruch i czyste po-

wietrze na pokładzie forkasztelu. A ponieważ na tym świecie wiatry wiejące od przodu znacznie przeważają nad wiatrami od rufy (to znaczy, o ile się nigdy nie pogwałci zasady pitagorejskiej), w większości wypadków płuca komodora stojącego na mostku kapitańskim otrzymują powietrze z drugiej ręki – od majtków na forkasztelu. Jemu się zdaje, że pierwszy nim oddycha; tak jednakże nie jest. W bardzo podobny sposób społeczeństwo kieruje swymi przywódcami w wielu innych sprawach, i to wtedy właśnie, gdy ci przywódcy bynajmniej tego nie podejrzewają. Ale jaka była po temu przyczyna, że wielokrotnie już pokosztowawszy morza jako marynarz na statku handlowym, teraz właśnie nabiłem sobie głowę, żeby wyruszyć na wyprawę wielorybniczą – na to lepiej, niż ktokolwiek inny, odpowiedzieć może ów niewidzialny policjant Losu, który sprawuje nade mną stały nadzór, potajemnie mnie śledzi i wpływa na mnie w jakiś sposób niepojęty. I bez wątpienia moje wyruszenie na tę wyprawę stanowiło część owego wielkiego programu Opatrzności, który został nakreślony już dawno temu. Przyszło to jako coś w rodzaju krótkiego interludium i solo między bardziej doniosłymi występami. Przypuszczam, że ta część programu musiała wyglądać mniej więcej tak:

**WIELKA WALKA WYBORCZA**  
**O FOTEL PREZYDENTA STANÓW ZJEDNOCZONYCH**  
**WYPRAWA WIELORYBNICZA NIEJAKIEGO IZMAELA**  
**KRWAWA BITWA W AFGANISTANIE**

Choć nie potrafię powiedzieć, dlaczego właściwie tak się stało, że owi reżyserowie, Losy, przeznaczyli mi tę lichą rolę w wyprawie wielorybniczej, podczas gdy



inni otrzymują wspaniałe role w wykwintnych komiciach lub też wesołe role w farsach – choć nie potrafię powiedzieć, dlaczego właściwie tak się stało, przecie teraz, kiedy wspominam wszystkie okoliczności, sądzę, że przejrzałem po trosze sprężyny i pobudki, które, przebiegle mi podsunięte pod różnymi postaciami, nie tylko skłoniły mnie do odegrania tej roli, ale jeszcze wypieściły we mnie złudzenie, że wynikało to z mojej własnej nieprzymuszonej woli i bystrego rozeznania.

Główną z tych pobudek była przemożna myśl o samym olbrzymim wielorybie. Tak złowieszczy i tajemniczy potwór pobudził całą moją ciekawość. Następnie owe dzikie i dalekie morza, w których przetaczał on swe cielsko wyspie podobne; nieopisane, nienazwane niebezpieczeństwa, jakimi zagrażał, one to właśnie wraz ze wszystkimi towarzyszącymi im cudami tysiąca patagońskich widoków i odgłosów przyczyniły się do tego, żem uległ swojemu pragnieniu. Może dla innych ludzi rzeczy tego rodzaju nie stanowiłyby zachęty, ale jeśli o mnie idzie, to trapiiony jestem wiecznotrwałą tęsknotą za tym, co dalekie. Lubię żeglować po zakazanych morzach i lądować u dzikich wybrzeży. Nie lekceważąc sobie tego, co dobre, umiem szybko dostrzec wszelką okropność, a jednak współżyć z nią – jeśli mi tylko na to pozwolą – jako że dobrze jest być na przyjaznej stopie ze wszystkimi mieszkańcami miejsca, w którym się przebywa.

Z tych to powodów cieszyłem się na wyprawę wielorybniczą; olbrzymie śluzę świata cudów rozwarły się przede mną, a pośród fantastycznych wyobrażeń, które skłoniły mnie do powzięcia tego zamiaru, dwa, właśnie dwa zapadły mi w głąb duszy: nieskończone

zastępy wielorybów, a w samym ich środku jedno ogromne, zakapturzone widmo, podobne do śnieżnej góry wznoszącej się w powietrzu.

## Rozdział II

### SAKWA PODRÓŻNA

Wsadziłem jedną czy dwie koszule do mej starej sakwy podróżnej, wetknąłem ją sobie pod pachę i ruszyłem w drogę na przylądek Horn i Pacyfik. Opuściwszy pocziwy, stary Manhattan, przybyłem jak się należy do Nowego Bedfordu. Działo się to w sobotnią grudniową noc. Wielkiego doznałem zawodu; kiedy się dowiedziałem, że mały statek pocztowy odpłynął już do Nantucket i że nie nadarzy się żadna sposobność dotarcia do owego miejsca przed następnym poniedziałkiem.

Ponieważ większość młodych kandydatów do trudów i utrapień wielorybniczego żywota zatrzymuje się w tymże Nowym Bedfordzie, aby stąd wyruszyć w podróż morską, należy nadmienić, że ja przynajmniej nie miałem zamiaru tak postąpić. Postanowiłem bowiem nie wypływać na żadnym statku, który by nie pochodził z Nantucket; coś świetnego i szumnego we wszystkim, co się wiązało z ową sławną, starą wyspą, pociągało mnie w zdumiewający sposób. Poza tym, mimo że Nowy Bedford w ostatnich czasach stopniowo zyskiwał wyłączność w rzemiośle wielorybniczym i mimo że w tej dziedzinie biedne, stare Nantucket pozostało już teraz mocno w tyle, było ono jednak niegdyś wielkim zaczątkiem Nowego Bedfordu – Tyrem

tej Kartaginy – miejscem, w którym wyciągnięto na brzeg pierwszego ubitego amerykańskiego wieloryba. Skądże, jeśli nie z Nantucket, robili na swych czółnach pierwsze wypady w pogoni za Lewiatanem owi czerwonoskórzy, tubylczy wielorybnicy? A skąd, jeśli nie również z Nantucket, wyruszyła ta pierwsza mała, awanturnicza łódź, częściowo załadowana sprowadzonymi tu z łądu kamieniami, przeznaczonymi – jak powiadają – do miotania w wieloryby, ażeby sprawdzić, czy są już dość blisko, by łowcy mogli zaryzykować cios harpunem z bukszprytu?

Ponieważ miałem przed sobą noc, dzień i jeszcze jedną noc w Nowym Bedfordzie, przed odpłynięciem do mego portu przeznaczenia, wynikło kłopotliwe zagadnienie, gdzie mam jeść i spać w tym czasie. Noc nie budziła ufności, była zaiste wielce ciemna i ponura, przejmująco zimna i posępna. W mieście nie znałem nikogo. Niespokojnymi pazurami wysondowałem własną kieszeń i dobyteм z niej ledwie kilka sztuk srebra. „A więc dokądkolwiek się udasz, Izmaelu – powiedziałem do siebie, stojąc tak pośrodku posępnej ulicy z sakwą na barkach i porównując mrok w północnej stronie z ciemnościami od południa – gdziekolwiek w swej mądrości postanowisz spędzić noc, mój drogi Izmaelu, nie omieszkaj zapytać o cenę i nie bądź zbyt- nio wybredny”.

Niepewnym krokiem przemierzyłem ulicę i mi- nąłem tawernę Pod Skrzyżowanymi Harpunami – wyglądała ona jednak na zbyt kosztowną i gwarną. Nieco dalej, z jasno gorejących okien oberży Pod Ry- bą Mieczem padały tak palące promienie światła, iż wydawało się, że stopiły one lód i śnieg ubity przed domem, gdyż wszędzie poza tym omrożona gołoledź leżała grubo na dziesięć cali, tworząc twardy jak as-

falt chodnik – raczej dla mnie przykry, kiedy stopą natrafiłem na twarde, krzemieniste wyboje, z powodu bowiem ciężkiej, bezlitosnej służby podeszwy moich butów znajdowały się w niezwykle opłakanym stanie. „Za drogo tu i zbyt gwarно” – pomyślałem sobie znowu, przystając na chwilę, by przypatrzeć się jaskrawemu blaskowi padającemu na ulicę i postłuchać brzęku szklanek wewnątrz domostwa. „Idźże dalej, słyszysz, Izmaelu? – powiedziałem sobie wreszcie. – Odejdź sprzed wrót; twoje łatanе buty tarasują tu drogę”. Poszedłem więc dalej. Teraz już, instynktem wiedziony, ruszyłem ulicami, które prowadziły mnie w stronę wody, jako że tam niezawodnie znajdować się musiały najtańsze, jeśli nie najweselsze gospody.

Cóż za ponure ulice! Masywy czerni, nie domy, po obu stronach, a tu i ówdzie świeczka, jakby migocząca w grobowcu. O tej nocnej godzinie, w ostatnim dniu tygodnia, ta dzielnica miasta okazała się niemal opustoszała. Wkrótce jednak doszedłem do miejsca, gdzie przydymione światło dobywało się z niskiego, rozłożystego budynku, którego podwoje stały gościnnie otworem. Dom miał wygląd zaniedbany, jak gdyby był przeznaczony do publicznego użytku, wszedłem więc i pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, było potknięcie się o popielnik w przedsionku. „Ha – pomyślałem, gdy wzbite w górę lotne cząsteczkiomal mnie nie udusiły – czyżby te popioły pochodziły z owego zniszczonego grodu, Gomory? A skoro już widziałem Skrzyżowane Harpuny i Rybę Miecz, tu musi być chyba oberża Pod Pułapką”. Pozbierałem się jakoś i słysząc w środku donośny głos, ruszyłem dalej i otworzyłem drugie, wewnętrzne drzwi.

Wydało mi się, że to wielki Czarny Parlament obraduje w piekle. Sto czarnych oblicz obróciło się w rzę-

dach ław, by popatrzeć; za nimi jakiś czarny Anioł Sądu przerzucał karty książki leżącej na pulpicie. Był to murzyński kościół, a tekst odczytywany przez kaznodzieję mówił o czerni otchłani piekielnej, o płaczu, zawodzeniu i zgrzytaniu zębów, jakie się tam rozlega. „Ha, Izmaelu – mruknąłem do siebie, wycofując się z powrotem – nędzne są rozrywki pod znakiem Pułapki!”

Ruszywszy dalej, dotarłem wreszcie do wąskiego światła w pobliżu doków i usłyszałem rozlegające się w górze żałośliwe skrzypienie. Podniósłszy głowę, zobaczyłem kołyszący się nad drzwiami szyld z białym malowidłem, niewyraźnie przedstawiającym wysoki prosty słup rozpylonych bryzgów wodnych, pod nim zaś takie słowa:

## OBERŻA POD WIELORYBNIKIEM

Piotr Trumna

„Trumna? Wielorybnik? – To brzmi raczej złowroźnie w tym akurat zestawieniu – pomyślałem sobie. – Mówią wszakże, iż nazwisko to jest w Nantucket pospolite i przypuszczalnie ten tutejszy Piotr musi być emigrantem stamtąd”. A ponieważ światło było przyćmione, miejsce wydawało się na razie dość spokojne, sam rozlatujący się drewniany domek wyglądał, jakby go tu przewieziono z ruin jakiejś spalonej dzielnicy, a kołyszący się szyld skrzypiał tak jakoś po nędzarsku – pomyślałem więc, że tu właśnie muszą być tanie kwatery i najlepsza kawa z grochu.

Dziwne to było miejsce – ten stary dom o trójkątnych ścianach szczytowych, z jednej strony jakby sparaliżowany i żałośnie na bok pochylony. Stał na ostrym, wietrznym rogu ulicy, gdzie ów burzliwy

wiatr, Euroklidon, hulał znacznie gorzej, niż to kiedykolwiek czynił wokół skołatanej łodzi nieszczęsnego Pawła. Euroklidon może być jednak wielce miłym zefirkiem dla kogoś, kto siedzi w domu ze stopami wspartymi o brzeg kominka, spokojnie grzejąc je przed snem. W posiadaniu moim znajduje się jedyny istniejący egzemplarz dzieł pewnego starego pisarza, który powiada: „Przy osądzaniu onego burzliwego wichru, Euroklidonom zwanego, przedziwna powstaje różnica w zależności od tego, czy wyglądasz nań zza okna szklanego, na którym cały szron umieścił się od strony zewnętrznej, czyli też obserwujesz go przez owo nierozsuwane okno omrożone ze stron obu, którego sama śmierć jedynym jest szklarzem”.

„To całkiem prawdziwe – pomyślałem sobie, gdy mi się ów ustęp na myśl nawinął – nieźle rozumiesz, stary hieroglifie!” Tak, oczy są oknami, a to ciało moje jest domem. Jaka szkoda jednak, że nie pozatykano szpar i szczelin, że nie opatrzone ich tu i ówdzie watą. Ale już teraz za późno na jakiegokolwiek ulepszenia. Wszechświat jest już ukończony, sklepienie położone, a wióry z budowy zabrano przed milionem lat. Nieszczęsny Łazarz, szczękający zębami na poduszce z kamiennego stopnia i otrząsający z siebie dreszczami swe łachmany, mógłby zatkać uszy szmatą, a w gębę wsadzić kolbę kukurydzy i jeszcze by to nie powstrzymało tego burzliwego Euroklidonu. – Euroklidon! – powiada stary bogacz spowity w czerwone, jedwabne szaty (miał później jeszcze czerwieńsze) – ba, ba! Co za piękna, mroźna noc, jakże iskrzy się Orion, jakie zorze północne! Niech sobie tam gadają o swych orientalnych letnich krainach wieczystej ciepłarni; mnie udzielcie przywileju stworzenia sobie własnego lata za pomocą własnego węgla.

Ale cóż myśli Łazarz? Zaliż może on rozgrzać swe zsiniałe dłonie, wyciągając je ku wspaniałym zorzom północnym? Czyż nie wolałby znaleźć się na Sumatrze miast tutaj? Czy nie o wiele bardziej by mu dogadzało wyciągnąć się na całą długość wzdłuż linii równika, a nawet – zaiste, o bogowie! – zejść do samej otchłani piekielnej, byleby tylko uchronić się od mrozu?

Że jednak Łazarz leży tutaj na kamiennych stopniach przed wrotami domu bogacza, to wydaje się osobliwsze, niż gdyby góra lodowa została przycumowana do jednej z wysp Moluków. Jednak sam bogacz też mieszka, jak car, w lodowym pałacu zbudowanym ze zmrożonych westchnień, będąc zaś prezesem towarzystwa wstrzemięźliwości, spija jedynie ciepławe łyżki sierot.

Ale dość już na razie tego biadolenia; wyruszamy na wieloryby i wiele go jeszcze będzie. Zeskrobmy lód z naszych oszronionych stóp i zobaczymy, co to może być za miejsce, owa oberża Pod Wielorybnikiem.

### Rozdział III

#### OBERŻA POD WIELORYBNIKIEM

Wchodząc pod trójkątny dach oberży Pod Wielorybnikiem, trafiło się do szerokiej, niskiej, odrapanej sieni o staroświeckiej boazerii przypominającej burłę jakiegoś starego, bezużytecznego już okrętu. Po jednej stronie wisiało ogromne olejne malowidło, tak gruntownie zadymione i całkowicie zamazane, że w nierównym, krzyżującym się świetle, w jakim je oglądano, można było jakoś dojść do zrozumienia, o co w nim

chodzi, tylko i jedynie przez pilne studia, serię systematycznych odwiedzin tudzież staranne rozpytywanie sąsiadów. Widniały tam tak niezliczone masy mroków i cieni, iż początkowo było się już skłonny przypuszczać, że jakiś ambitny młody artysta z okresu, kiedy w Nowej Anglii istniały jeszcze czarownice, usiłował tu odtworzyć zakłęty chaos. I przecie drogą głębokiej, a poważnej kontemplacji, częstotliwych przemyśleń, w szczególności zaś dzięki otworzeniu małego okienka umieszczonego w końcu sieni, dochodziło się nareszcie do wniosku, że podobna myśl, jakkolwiek dziwaczna, nie jest może tak zupełnie pozbawiona podstawy.

Ale rzeczą, która patrzącego najbardziej intrygowała i wprowadzała w pomieszenie, była długa, gibka, złowieszcza, czarna masa czegoś, co unosiło się pośrodku obrazu ponad trzema błękitnymi, zamazanymi, pionowymi liniami skąpanymi w jakiejś nieokreślonej pianie. Bagniste, zwilgłe, doprawdy okropne to było malowidło; zupełnie wystarczające, by doprowadzić do szału człowieka nerwowego. A jednak była w tym obrazie pewna nieokreślona, niedopowiedziana, niepojęta wzniosłość, która przykuwała doń całkowicie, aż wreszcie człowiek mimowolnie poprzysięgał sobie, iż dowie się, co oznacza to cudaczne dzieło. Raz po raz przeszywała patrzącego jakaś znakomita, jednakże, niestety, zwodnicza myśl. – To Morze Czarne w czasie nocnej nawałnicy. – To przeciwne naturze starcie czterech pierwotnych żywiołów. – To jakiś zatracony ugór. – Hiperborejska scena zimowa. – Spękanie lodów na zamrzniętym strumieniu Czasu. – Ale na koniec wszystkie te fantastyczne pomysły ustępowały przed owym czymś złowieszczym w środku obrazu. Gdyby tylko to zrozumieć – reszta byłaby już jasna. Ale chwileczkę; czyż nie ma w tym nikłego podobieństwa